



## NOWE (CZYLI PREZES GKF) i STARE (CZYLI NACZELNY INFO)

Jesteśmy po Walnym i mamy nowego Prezesa. Trudno nie odnotować tego we wstępniaku. Trudno też nie odnotować dziwnego wrażenia deja vu...

Gdy zaczynała się poprzednia kadencja, gdy prezesem został Piotr Mazurowski, a Krzysztof Papierkowski na dobre (wydawało się) pożegnał się z prezesowaniem GKF-owi – popeliłem wstępniak Papierowi właśnie poświęcony. Pisałem tam o fenomenie jego najrozmaitszych pomysłów, o naszej wieloletniej znajomości, o dotychczasowej historii Klubu... Nie będę tu już tamtego wstępniaka cytował ani uaktualniał – możecie zajrzeć do swoich zbiorów lub do archiwum GKF-u.

Po prostu raz jeszcze dziękuję Papierowi – myślę, że w imieniu wszystkich – za te wszystkie lata, pomysły i działania oraz życzę Cetiemu – myślę, że też w imieniu wszystkich – równie udanych lat, pomysłów i działań!

Zresztą niech przemówi sam prezes: zapraszam wszystkich do przeczytania wywiadu z Adamem Cetnerowskim (wewnątrz numeru).

Poza tym wielkimi krokami zbliża się kolejny okrągły jubileusz „Informatora”. I czuję się trochę dziwnie: ponieważ „rednaczuje” naszemu periodykowi od dziewięćdziesiątego czwartego numeru – obawiam się nieco rutyny... Już co drugi numer „Info” jest składany za mojej kadencji, miałem zaszczyt redagować numer setny, pewnie nie minie mnie „dwusetka”. Wprawdzie nasze kolegia redakcyjne są naprawdę kolektywne, a ostateczny kształt każdego numeru tworzony jest demokratycznie, a nie autorytarnie – jednak pewien styl naszego pisma nie tylko się wyklarował, ale i nieco może kostnieje.

Dlatego, w tej nowej „erze”, bardzo proszę wszystkich zainteresowanych Czytelników, by wsparli nas swymi recenzjami, relacjami, felietonami. Ostatnio parę stałych rubryk wyczerpało się, inne pojawiają się sporadycznie – a czy możemy stworzyć naprawdę urozmaicone pismo posiłkując się tylko recenzjami Koleżanek i Kolegów z Gildii, polonistycznymi analizami Adama Mazurkiewicza, sporadycznymi tekstami Braci Szklarskich i jeszcze sporadyczniejszymi wrażeniami Cetiego z kina? To wszystko jest dobre, ale tego jest za mało! Nie odnotowaliśmy wielu ciekawych premier filmowych, o relacje z kilku ważnych konwentów musieliśmy prosić życzliwe osoby, zbyt mało jest korespondentów związanych bezpośrednio z GKF-em...

A „tak krawiec kraje, jak mu materiału staje”. Chcecie mieć co miesiąc atrakcyjne klubowe piśmko – pomóżcie nam je współtworzyć (a jest to też szansa wypowiedzenia własnego zdania o książce, filmie, imprezie...!)

*Jan Plata-Przechlewski*

**W imieniu Redakcji i swoim przekazuję Wam Wszystkim z serca płynące (choć mocno spóźnione, z uwagi na wyjątkowo wczesną w tym roku Paschę) życzenia wielkanocne oraz (wstępniak powyższy napisałem w początkach ostatniej dekady marca, ale kolegium mamy pod koniec pierwszej dekady kwietnia) – wyrazy ludzkiej solidarności... Myślę, że z uwagi na mizери naszego hobbystycznego piśmka oraz na rangę Postaci, która po raz kolejny poruszyła cały świat – trudno na tych łamach napisać coś więcej!**

*jpp*

# URODZINY

Drodzy majowi Jubilaci!  
Życzymy Wam wszystkiego  
najlepszego...

1 Piotr Bortkun	18 Jacek Rzeszotnik
2 Katarzyna Arczewska	Jarosław Stoń
4 Marcin Markowski	Jacek Wronkowski
5 Maciej Chudoba	20 Janusz Bogucki
7 Wojciech Nieradko	Marcin Szklarski
Maciej Wiktor	Michał Szklarski
11 Jakub Grabowski	25 Paweł Nowak
12 Wojciech Borkowski	28 Krzysztof Stefański
14 Michał Narczewski	Patryk Wierzbanowski



## MARCOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF i RADY STOWARZYSZENIA

Odbyło się w dniu 19 marca 2005 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

### 1. SPRAWY ORGANIZACYJNE

- 1.1. Podział obowiązków w Zarządzie:  
– wiceprezes Mariusz Czach: sprawy ogólnofinansowe, logistyka;  
– wiceprezes Marta Witkowska: sprawy operacyjne, współpraca z Zarządami KL;  
– czpo sekretarza Zarządu Krzysztof Papierkowski: oprócz stałych obowiązków kontakt z Klubami Sprzymierzonymi i windykacja.
- 1.2. Sprawa formalności przy załatwianiu statusu organizacji pożytku publicznego dla GKF: referowali K. Papierkowski i M. Szklarski. Wznowiono przygotowanie dokumentów, które zostaną złożone w KRS do końca marca.
- 1.3. Sprawa Klubu Lokalnego CAVUM TERRAE  
CT występuje z GKF zgodnie z uchwałą swego Walnego Zebrania. Zaległości finansowe i rzeczowe (biblioteka) zostały załatwione. Zarząd GKF przyjął informację do wiadomości. Polecono zdjęcie CT z wszelkich ewidencji.
- 1.4. Sprawa Klubu Sprzymierzonego GDAŃSKI KLUB TOLKIENISTYCZNY "AVALLONE"  
Prezes KS Magda Kaczmarczyk zwróciła się o rozwiązanie Avallone z powodu zmniejszenia się ilości członków poniżej 5 i braku szansy na poprawę sytuacji. Podjęto uchwałę o rozwiązaniu KS AVALLONE.
- 1.6. Omówienie współpracy z Ministerstwem Kultury, Międzynarodowym Centrum Kultury i portalem WROTA WYOBRAZNI

### 2. SPRAWY PERSONALNE

- 2.1. Zmiany funkcyjne  
– Zarząd GKF zwolnił Magdę Kaczmarczyk z Rady Stowarzyszenia;  
– Zarząd GKF powołał do Rady Stowarzyszenia Władysława Wojtkiewicza i Michała Szklarskiego;  
– Zarząd KL Angmar mianował skarbnikiem KL Marcina Markowskiego
- 2.2. Przyjęcie kandydatów do GKF  
Angmar – Anna Kwiatkowska  
Snot – Jan Cieśllicki
- 2.3. Zakończenie stażu kandydeckiego  
Angmar – Paweł Nowak  
Brethren – Maciej Chudoba, Aleksandra Scibisz, Marcin Rutkowski, Alicja Blacharska
- 2.4. Skreślenie z listy członków GKF (za brak składki za IV kw. 2004)  
Angmar – Jarosław Wasielewski
- 2.5. Urlopy  
First Generation – Kuba Kuran i Maja Szmigiel I–IV kwartał 2005

### 3. SPRAWY FINANSOWE

- 3.1. Prezes podał stany subkont KL.  
3.2. Uchwalono, że od II kwartału 2005 kary za zaleganie ze składkami będą wpłacane na konto GKF, a nie jak dotąd na subkonto KL.

### 4. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ

- 4.1. Zatwierdzenie kontroli finansów GKF za 2004  
Przewodniczący Komisji Rewizyjnej odczytał protokół z kontroli finansów GKF. Protokół został zatwierdzony.
- 4.2. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej powinien na kwietniowym posiedzeniu ZiRS przedstawić terminarz kontroli na 2005 rok.

### 5. IMPREZY

- 5.1. Sprawa 19. konwentu NORDCON 2005  
– tymczasowym koordynatorem wyznaczono Martę Witkowską;  
– ustalono termin: 8–11 grudnia;  
– przedstawiono wstępne tematy;  
– termin wstępnego spotkania organizacyjnego: 9 kwietnia;
- 5.2. Sprawa imprezy letniej (będącej kontynuacją Trójfickji)  
Prezes zreferował sprawę. Postanowiono w tym roku nie organizować imprezy letniej.
- 5.3. KL Snot przedstawił plan turniejów w kwietniu.

## WYWIAD Z ADAMEM CETNEROWSKIM, PREZESEM GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

**PiPiDżej: Przede wszystkim gratulacje! I na sam początek – powiedz, od kiedy zacząłeś liczyć się z tym, że zostaniesz kolejnym prezesem GKF-u? Czy może miałeś jakieś opory przed objęciem tej funkcji?**

**Ceti:** Los i – mam nadzieję! – predyspozycje zawsze popychały mnie do zajęcia tego typu stanowisk. Wystarczy wspomnieć, że byłem gospodarzem klasowym w podstawówce, prezesem ministrantów, teraz jestem sędzią i organizatorem turniejów Magica. W GKF-ie zresztą też mnie nie ominęły różnego rodzaju zajęcia: szef Działu Gier, p.o. prezesa Angmaru, zastępca koordynatora Nordconu. Nawet będąc na „emigracji” w Warszawie byłem administratorem strony WWW.

O mojej kandydaturze dowiedziałem się kilka tygodni po powrocie z Warszawy, podczas wieczorka kawalerskiego jednego z naszych członków. Oczywiście koledzy zaczekali z tą informacją, aż osiągnąłem odpowiedni stopień gotowości. Od tego czasu starałem się bardziej zaangażować w życie klubu. Zostałem nominowany do Rady Stowarzyszenia, przez krótki okres byłem szefem Działu Gier Planszowych i p.o. skarbnika w Angmarze.

Opory miałem i nadal mam. Wynikają one nie tyle z poczucia braku zaufania członków (w końcu mnie wybrali) czy braku wiary w swoje kompetencje – co z braku rozeznania w szczegółach działalności klubu i małej liczby znajomości w Fantomie Polskim, co moim zdaniem jest istotne na tym stanowisku. Na szczęście udało mi się namówić Papierę na stanowisko sekretarza – i ufam, że nawet gdy zwolnię go z tej funkcji (zgodnie z naszą umową), to nadal będzie mnie wspierał.



**ВЕЛИКИЙ ЦЕТИ – ЗНАМЯ ДРУЖБЫ КЛУБОВ ГКФ!**

**PiPiDżej: Jakie masz teraz plany? Co chciałbyś w funkcjonowaniu Klubu zostawić, co zmienić, co dodać?**

**Ceti:** Mam przecucie, że ta kadencja nie będzie moją ostatnią. Chciałbym ją poświęcić na lepsze zapoznanie się z działaniem klubu, jego członkami i całym środowiskiem, w jakim istniejemy – i nie chodzi mi wyłącznie o Fandom.

Obecnie widzę przed sobą trzy cele. Pierwszy z nich to przeprowadzenie udanego Nordconu. Wprawdzie koordynatorem będzie Tandi, ale jako prezes zamierzam ją wspierać. Nordcon jest przecież naszą sztandarową imprezą, nie mówiąc o jego wpływie na nasz budżet.

Druga istotna kwestia to pozyskanie nowych członków. Szczególnie myślę tu o klubach Angmar, Brethren i Snot. Ich prezesi wkładają naprawdę dużo wysiłku w pozyskanie i utrzymanie członków, ale zawsze można próbować zrobić coś lepiej.

Ostatnia sprawa to budżet klubu. Rok zaczęliśmy od kolejnej podwyżki składki i chciałbym uniknąć takiej sytuacji w tej kadencji. Jest to dosyć złożona sprawa – podejrzewam, że czekają mnie długie wieczory nad rządkami cyferek wraz z Bogusiem i Papierem.

**PiPiDżej: Współczuję! Ale do pieniędzy jeszcze wrócimy... Na razie pytania bardziej fundamentalne: Skąd się wzięła Twoja fascynacja fantastyką? I jak trafiłeś do GKF-u?**

**Ceti:** [uśmiech] To dosyć trudne pytanie. Myślę, że istotnym czynnikiem było zainteresowanie historią, którymi zarazili mnie tata i dziadek. W młodości karmili Tomkami i Panami Samochodzikami, tak że nawet przez pewien czas chciałem zostać archeologiem. Nie można też zanegować, że w tych powieściach jest też pewien tajemniczy element, który czasami nadaje im ten fantastyczny pierwiastek.

Muszę też wspomnieć, że część dzieciństwa spędziłem w USA, gdzie fantastyka jest mniej niszowa niż u nas – wystarczy choćby popatrzeć na kreskówki. Tam też zaznajomiłem się wpiery z „paragrafówkami”, a potem z grami RPG (pierwsze podręczniki do AD&D wypożyczałem z biblioteki publicznej!).

Okres po dzieciństwie – to była radosna mieszanka szeroko pojętej fantastyki, od dzieł mistrzów aż po najgorsze chałtury. Jedynym wyznacznikiem były z rzadka kupowane numery „Fantastyki”. Jednak dzięki nim przeczytałem powieści Urszuli Le Guin, J.R.R. Tolkiena czy Jerzego Żuławskiego.

Mój drugi pobyt w USA zakończył się, gdy otrzymałem indeks Politechniki Gdańskiej, gdzie znalazłem się w grupie dziekańskiej z kolegami z liceum. Klubowicze znają ich jako Rózię i Sławcoka. Długo nie musieli mnie przekonywać do wstąpienia, szczególnie gdy ujrzałem regały pełne książek czy szafki pełne gier.

**PiPiDżej: Twoje ulubione/szczególnie ważne dla Ciebie książki i filmy fantastyczne; zarówno te dawniejsze – jak i te najnowsze?**

**Ceti:** Nie będę chyba zbyt oryginalne, gdy wymienię „Władcę Pierścieni”. Bądź co bądź czytałem ją kilkanaście razy. Dla równowagi z dziedziny SF jest to niewątpliwie „Gra Endera”, bo choć „Mówcę Umarłych” i „Ksenocyte” cenię bardzo wysoko, to pierwszy tom udał się Cardowi najbardziej.

Jakiś rok temu przeczytałem po raz pierwszy jedną z książek Jacka Dukaja („Inne Pieśni”) i wywarła na mnie niesamowite wrażenie. Nie chcę tu pisać całego

artykułu na temat jego twórczości, ale pisze on książki trudne, wymagające myślenia – i to naprawdę robi wrażenie.

W przypadku filmów również zacznę od klasyki, czyli oryginalnych „Gwiezdnych Wojen”. Tego chyba nie trzeba komentować; wspomnę natomiast, że przez długi okres czasu nie mogłem nigdzie obejrzeć „Imperium kontratakuję”, co doprowadzało mnie do szewskiej pasji.

Bardzo istotny film to druga, nowa trylogia – czyli „Władca Pierścieni”. Peter Jackson zrealizował ukryte marzenie milionów fantastów na świecie i zrobił to z rozmachem i w pięknym stylu.

Chciałbym tu też wymienić seriale telewizyjne, które szczególnie ostatnio (między innymi ze względu na dostępność DVD) znacząco dojrzały. Ponieważ reżyser i scenarzysta mają wiele czasu (sezon to ok. 11 godzin filmu), mogą sobie pozwolić na powolną ekspozycję, przedstawienie złożonych problemów, rozwój postaci w czasie. Z tytułów pozwolę sobie wymienić dwa seriale – „Babylon 5” i nowa wersja „Battlestar Galactica”, o których pisałem zresztą w „Informatorze”.

**PiPiDżej: Klub – to dziś także gry. Ja jestem w tej dziedzinie totalnym ignorantem. Ty masz kontakt z tą dziedziną fantastycznej działalności. Czy mógłbyś coś więcej powiedzieć na ten temat?**

*Ceti:* Jak już wspominałem: gry w pewnym sensie wciągnęły mnie do fantastyki i pozostałem lojalnym wobec nich [śmiech].

Na pierwszy rzut oka – najwięcej w tej dziedzinie robi Snot, który regularnie organizuje turnieje bitewniaków (gier bitewnych rozgrywanych za pomocą figurek). GKF miał zawsze silną tradycję w tej dziedzinie – i cieszę się, że kolejne pokolenie twardo ją podtrzymuje.

Ostatnio Zarząd utworzył Dział Gier Planszowych. Zdobywają one nową popularność na świecie, jak i w naszym klubie. Jest też niejako powrót do czasów moich początków w GKF-ie. Gra planszowa daje zajęcie kilku osobom na parę godzin – w sam raz na spotkanie klubowe.

Bardziej ukrytą formą grania są gry fabularne, czyli RPG. Choć podczas spotkań klubowych z rzadka widać, aby ktoś grał, to łatwo podsłuchać rozmowy o odbytych i planowanych sesjach.

Nie sposób też nie wspomnieć o piłkarzykach, które były, są i będą, a nawet decydowały o wynikach Walnego Zebrania w Angmarze.

**PiPiDżej: Ponoć dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach... Skoro jednak w tym wywiadzie była już o nich wzmianka – zapytam jeszcze, czy widzisz szanse na pozyskanie dla GKF-u (np. na działalność wydawniczą) jakichś zewnętrznych funduszy (UE etc.)?**

*Ceti:* Mam nadzieję, że uda się pozyskać fundusze. Na ostatnim ZiRS omawialiśmy różne możliwości pozyskania funduszy. Muszę się przyznać, że nie wiedziałem, że prezesa czeka tyle papierkowej roboty.

Mam też nadzieję nawiązać lub odnowić współpracę z różnymi organizacjami, które mogłyby zapewnić infrastrukturę dla naszej działalności (np. seminarium filmowe).

**PiPiDżej: Strona internetowa GKF-u. Pytam Cię w tym momencie nawet nie tyle jako prezesa, co jako eksperta – kiedy wreszcie nasza nowa strona na art.pl przestanie wyglądać jak „etykieta zastępcza”?**

*Ceti:* I w końcu wyciągnąłeś szpilki? [śmiech] Przyznam się, że stanowisko administratora strony wzięłem na siebie z poczucia obowiązku i wyrzutów sumienia, że wyjeżdżam do Warszawy. Nigdy nie pałałem wielką miłością do tworzenia i utrzymywania WWW.

W lecie chcieliśmy zmobilizować klubowiczów do większej aktywności, więc przekonwertowaliśmy stronę na silnik MediaWiki, który umożliwia każdemu edycję strony. Jednak, po pierwszym impulsie, zapał do dodawania zawartości znacząco podupadł. Opuściłem też walkę z funkcyjnymi, którzy bronili się przed pielęgnacją swojej działki.

Trzeba też przyznać, że strona nie pełni istotnej roli w życiu klubu – jest *de facto* rozbudowaną wizytówką. Chciałbym jedynie zadbać o to, aby zawierała aktualne informacje i elektroniczną wersję „Informatora”, nad czym pracujemy. Ważniejszą rolę pełni lista dyskusyjna dla członków klubu. Sam przecież lubisz podesać na nią dowcipy i ciekawe artykuły.

Chciałbym skorzystać z okazji i przypomnieć wszystkim, że aby zapisać się na listę – trzeba poprosić swojego prezesa KL, aby przysłał do mnie maila w tej sprawie.

**PiPiDżej: „Informator” GKF-u. Jak oceniasz nasz periodyk? Co Ci się w nim podoba, co nie, jakie sugerowałbyś modyfikacje? Proszę o szczerść – we wstępniku też apeluję do czytelników o pomoc w utrzymaniu się rutyny! I liczę na kolejne recenzje filmowe...**

*Ceti:* „Informator” zawsze czytałem z dużym zainteresowaniem, jako że stanowił dla mnie źródło informacji o życiu klubu i Fandomu. Nie zazdroścę wam ciężkiej pracy, jaką wkładacie do każdego z numerów.

Zdecydowanie należałoby poszukać nowe osoby do współtworzenia periodyku. Jako bardzo istotne oceniam materiały związane z działalnością klubową – ogłoszenia o imprezach, nowe pozycje w bibliotece, gry popularne w klubie – oraz wydarzenia z Fandomu, w tym relacje z konwentów, bo nie można przecież pojechać na każdą imprezę.

Na mnie możecie oczywiście zawsze liczyć.

**PiPiDżej: Parę słów o sobie, według inwencji – może praca zawodowa, może znak zodiaku, może hobby niezwiązane z fantastyką?**

*Ceti:* Zahacza to może troszkę o fantastykę, ale od półtora roku ćwiczę kendo (5-kyu), a od pół roku dodatkowo iaido. Są dwie japońskie sztuki walki z użyciem miecza. Pozwalają one mi nabrać kondycji fizycznej, jak również rozwinąć w sobie takie cechy psychiczne, jak opanowanie, silną wolę, czy wolę walki. Niestety, są one czasochłonne, bo potrafię poświęcić na nie nawet dziesięć godzin tygodniowo.

**PiPiDżej: Co jeszcze, tak od siebie, chciałbyś dodać w tym wywiadzie?**

*Ceti:* W liceum wywarł na mnie wielkie wrażenie wiersz Horacego „Exegi monumentum aere perennius”. Myślę, że dzisiaj Papier może swobodnie wypowiedzieć te słowa. Chciałbym za kilkanaście lat znaleźć się w tej samej sytuacji.

**PiPiDżej: Dziękuję za rozmowę! I trzymam kciuki – za dziś i za te kilkanaście lat...**

## R-Kon3

### - tory kończą się dopiero w Przemyślu...

Rzeszowski R-Kon skupił w tym roku rekordową liczbę uczestników – rekordową ma się rozumieć jak na warunki, w których się odbywa. Rzeszów ma dla mnie osobiście podobną wadę, jak większość miast w których odbywają się zazwyczaj konwenty: jest doń daleko. Zresztą, daleko jest z wielu miast Polski.

Nie wszystko jednak stracone – miasto Rzeszów nie leży znów w tak znacznej odległości od takiego dla przykładu Krakowa czy Katowic, gdzie fanów fantastyki ci dostatek. Zresztą, gdy miłość do gier fabularnych i nie tylko wielka, tam i odległości zdają się kurczyć.

Pokrzepiony tą myślą (a także zupełnie niespodziewanym zastrzykiem środków pieniężnych, czy też raczej – spadkiem kosztów) zdecydowałem się odwiedzić tegoroczny R-Kon – ostatni zresztą organizowany przez te same osoby, co do tej pory, miejmy nadzieję, że nie ostatni w ogóle. Jak postanowiłem, tak też uczyniłem. Dojazd z Gdańska był niemal doskonały – bezpośredni ekspres z Gdyni do Przemyśla. Zaledwie 10 godzin w drodze. Miód.



Jadącym z Gdańska i Warszawy podróż minęła niemal bez niespodzianek – tylko "niemal", bo jak wiadomo koleje dbają o to, aby jej użytkownicy nie zgnuśniali – wydaje mi się jednak, że półgodzinne spóźnienie na takim dystansie jest do zaakceptowania. Podobno inni mieli gorsze przygody... Okazuje się też, że czasem lepiej zostać w pociągu niż przesiadać się na inną lokomotywę.

Rzeszów przywitał mnie szarzejącym niebem i widokiem licznych żołnierzy przechodzących ulicami. Ilość "zakazów fotografowania" sprawiła, że nieco bałem się wyciągnąć aparat... Po drugiej stronie rzeki poczułem się jednak jak w domu, szybko też znalazłem budynek szkoły, w którym konwent się odbywał. Ponadto z miejsca okazało się, że w pobliżu znajdują się dwie pizzerie, z których jedna oferowała nawet zniżki uczestnikom konwentu. Akredytacja przebiegała sprawnie, co prawda nie było chyba wielkich kolejek, ale mimo to frekwencja była wysoka. Organizatorzy jednak w tych pierwszych godzinach stanęli na wysokości zadania. Każdy uczestnik otrzymał w zamian za skromną opłatę informator i identyfikator, a jeżeli był grzeczny, to nawet i znaczek.

Przyznam, że z programem konwentu zapoznałem się dopiero w tym momencie... Z przyjemnością stwierdziłem jednak, że w myśl zasady "*Jak Kuba...*", wróć, yhim, "*Dla każdego coś miłego*", przewidziane zostały zarówno prelekcje dla wyjadaczy i zagorzałych fanów poszczególnych systemów czy zagadnień, jak też i dla nowicjuszy, czy też osób nie zaznajomionych z tym partykularnym tematem. Przykładem tego pierwszego mogą być np. prelekcje cyberpunkowe, przykładem tych drugich – prezentacja Paranoi XP czy Wolsunga. Nie zabrakło konkursów, na naprawdę wysokim poziomie (wyzwania), na rozmaite tematy. Nie stroniono też od tematów dozwolonych od lat 18 – ciekawą prelekcją o kurtyzanach, przy świecach i ciasteczkach, poprowadziła w czerwonej sukni Monika "Mona" Bigaj. Niestety, na pozostałe punkty programu przygotowane przez tą damę nie dotarłem.



Zauważyłem też, że niezmiernie rzadko słychać było głosy w tonie "*miało być, a nie było*" - program okazał się mało "dziurawy". Przybyli zaproszeni goście – m.in. Andrzej Pilipiuk poprowadził kilka z punktów programu.



Jeżeli chodzi o samą szkołę i otaczający teren, to nie odbiegał on od powszechnie przyjętych przez konwenty wymagań. Były sale sypialne, pomimo dość wysokiej frekwencji (jak na R-Kon) wcale nie zbyt zatłoczone, w każdym razie nie tak, aby spowodować niewygodę, był długo czynny bufecik, w którym można było zregenerować się kawą. Sprzyjało to zachowaniu energii przez konwentowiczów, którzy uczestniczyli w imprezie bardzo aktywnie. Odbywały się sesje, grano w karcianki, tańczono na sali gimnastycznej i w tzw. DDR Room. Atrakcją był Games Room, czyli sala gier karcianych i planszowych. Pozdrowienia dla Nataniela, dzięki któremu mogliśmy zagrać w kapitalną i zupełnie nie losową strategię "Gra o Tron".

Jednak tym, co stanowiło dla mnie krem i wisienką na torcie konwentu, był program LARPów. Niestety, nie wzięłem udziału w LARPie wiedzmińskim (podobno wyjątkowo udanym), za to nie ominąłem przywileju uczestniczenia w posiedzeniu wiktoriańsko-steampunkowej tajemnej loży i w wyborach jej Wielkiego Mistrza – czyli LARPU w realiach systemu "Wolsung: Magia Wieku Pary", który (miejmy nadzieję) już niedługo doczeka się wydania. LARP odbył się tradycyjnie w nocy, zaraz po prezentacji tego systemu, która skupiła zarówno jego sympatyków, jak też i osoby, które być może zwyczajnie zaciekało słowo "steampunk". Po krótkim wprowadzeniu w realia świata fantasy, który doczekał się rewolucji thaumiczo-industrialnej, wszyscy bawili się doskonale – dzięki temu, że czas był odmierzany kolejnymi punktami porządku obrad i że każdy miał interesy do zadbania i zadania do wypełnienia, cały czas utrzymywało się odpowiednie napięcie i tempo gry. Prowadzący LARP Artur Ganszyniec poradził sobie, zwyczajowo, doskonale, pomimo, że współorganizator zachorował i nie mógł mu pomóc. Wydaje mi się, że LARPy Wolsunga w którymś momencie naprawdę zaczynają toczyć się same...:)



Mój opis konwentu pozostanie jednak niekompletny – ponieważ w porównaniu do dojazdu, powrót do Gdańska był prawdziwym koszmarem, musiałem opuścić konwent przedwcześnie – już po konkursach WFRP i Świata Dysku, ale jeszcze przed panelem systemów autorskich... Po tym względem program konwentu ułożył się dla mnie niefortunnie. Wspomniany konkurs WFRP jednak odwiedziłem, i mocno się sparzyłem – przygotowane przez Wizzarda pytania były na bardzo wysokim poziomie, w porównaniu z tymi, które słyszałem na innych konwentach, i znałem odpowiedzi tylko na pytania innych zawodników... Pochwalić!

Podsumowując: konwent, choć nieduży, był bardzo udany! Organizatorzy przez większość czasu byli na miejscu (czyt. tam, gdzie byli potrzebni), można było liczyć na nich i na innych uczestników, nie doskwierały różne problemy, obyło się bez żadnych ekscesów, nie licząc nocnego występu zespołu z tańcem kan-kan. Tylko snu jak zwykle niedużo...

Pozdrowienia dla wszystkich, których widziałem znów, widziałem po raz pierwszy oraz nie widziałem!

Sebastian Lenartowicz

# NOWOŚCI BIBLIOTEKI GKF

styczeń-marzec 2005

Anthony Piers	Tamten zły wiatr
Antologia	Krainy tajemnic. Forgotten Realms
Antologia	Małodobry
Carrol Jonathan	Szklana zupa
Cherryh Caroline J.	40 000 z Gehenny
Cunningham Elaine	Wojna magów. Forgotten Realms
Denning Troy	Oblężenie. Forgotten Realms
Diaczenko	Magom wszystko wolno
Marina i Siergiej	
Farland David	Kościelisko. Władcy Runów
Goonan Kathleen Ann	Jazz Miasta Królowej
Hand Elizabeth	Czarne światło
Harlan Thomas	Cień Araratu
Hobb	Robin
Kearney Paul	Żelazne wojny. Boże Monarchie
Kemp Paul S.	Świadek cienia. Forgotten Realms
Kres Feliks W.	Tarcza Szerni
Leiber Fritz	Oblężenie Lankmaru
Lumley Brian	Bracia krwi. Nekroskop 6
Lumley Brian	Ostatnie zamczysko. Nekroskop 7
Macapp C.C.	Subb
McIntosh Fiona	Zdrada
McIntosh Neil	Gwiazda Erengradu. Warhammer
Nix Garth	Abhorsen
Oldi Henry Lion	Mag z łaski prawa. Magent
Pierumow Nik	Czaszka na niebie
Powers Tim	Sejsmiczna pogoda
Pratchett Terry	Wolni ciutludzie
Preston Douglas	Gabinet osobliwości
Child Lincoln	
Ringo John	Tam będą smoki
Shedman Lisa	Zagłada. Forgotten Realms
Silverberg Robert	Długa droga do domu
Spychalski Dariusz	Krzyżacki poker
Twardoch Szczepan	Oblęd rotmistrza von Egern
Weber David	W służbie Miecza. Honor Harrington
Weiss Margaret	Smoki Zaginionego Księżyca. Dragonlance
Hickman Tracy	
Ziemiański Andrzej	Achaja t. 3



## NIUSY



### ZMARŁA ANDRE NORTON

W czwartek 17 marca w wieku 93 lat zmarła jedna z najwybitniejszych autorek literatury fantazy – Andre Norton. Laureatka dziesiątek nagród znana była głównie ze słynnego cyklu „Świat Czarownic”.

Redakcja "Informatora"

### POLECIELI LUCASEM!

Podczas słownego starcia polityków – które 17 marca odbyło się w Krakowie, z inicjatywy „Rzeczpospolitej” – Roman Giertych zarzucił Donaldowi Tuskowi, iż w kwestii sporu Wałęsa vs. Rydzyk [tu cytat:] „...PO przeszła ostatnio na ciemną stronę mocy”; w ripostie usłyszała, że założyciel „Solidarności” [też cytat:] „...był dla Polaków symbolem tej jasnej strony mocy!”.

Argumenty w kolejnym starciu będą nawiązywać do *Matrixa*, *Terminatora* i *Aliena*?

jpp

### KOLEJNA GALA OSCAROWA

Na kawałek oscarowej gali załapałem się tym roku o poranku w szwedzkiej telewizji. Ale nawet mi, zatwardzialemu kinomanowi, nie chce się już pisać o tej nagrodzie. Nagrodzie nie będącej bez znaczenia – ale jakże często dziwnymi drogami chadzącej. Przed miesiącem i u nas rozmaite media wspominały o tych wielu genialnych reżyserach, filmach, aktorach, którzy Oscara nigdy nie dostali – i o wielu przeciętniakach (czasem nawet nie najgorszych, ale też nie genialnych!) uhonorowanych złotą statuetką.

Cóż... Lem też nie dostał Nobla. I jeśli to wstyd – to nie dla Mistrza Stanisława!

jpp

### SMOCZY JĘZYK ZAŚPIEWA I ZATAŃCZY?

Powstaje musical oparty na fabule Tolkienowskiej trylogii.

Premiera dokładnie za rok w Toronto; londyński West End planuje swoje wystawienie tego spektaklu na jesień 2006 r.

jpp



### TRUJĄCE PASMO?

Wejście w obłok ciemnej materii międzygwiazdnej mogło spowodować największe zlodowacenie z dziejach Ziemi. To, że 600 milionów lat temu nasz glob zamienił się w gigantyczną kulę śnieżną, spowodowane mogło być długotrwałym i znacznym odcięciem od promieni słonecznych – taką hipotezę postawili astrobiolodzy z NASA w marcowym numerze „Geophysical Research Letters”.

jpp

## SKOMPLETOWANA KOLEKCJA „GW”

Wśród czterdziestu znakomitych tytułów światowej literatury XX wieku dołączanych do wtorkowych numerów „Gazety Wyborczej” – znalazło się całkiem sporo, szeroko pojętej, fantastyki: „Imię róży” Eco, „Mistrz i Małgorzata” Bułhakowa, „Błaszany bębenek” Grassa, „Kocia kołyska” Vonneguta, „Rok 1984” Orwella, „Kroniki marsjańskie” Bradbury’ego, „Proces” Kafki, „Władca Much” Goldinga, „Sto lat samotności” Gacii Marqueza, „Solaris” Lema, „Mała apokalipsa” Konwickiego. Dobór powieści „realistycznych” był zresztą równie imponujący.

jpp

## „MAGAZYN FANTASTYCZNY” #4

Ukazał się czwarty numer radomskiego „Magazynu Fantastycznego”.

jpp

## DWIE „WOJNY ŚWIATÓW”

W cieniu – jednak współczesnej, niestety! – Spielbergowskiej super-produkcji powstaje niskobudżetowa adaptacja Wellsowskiego arcydzieła. Ona jest z kolei reklamowana jako pierwsza w historii kina wierna adaptacja tej powieści (pełny angielski tytuł, jak można się domyślić, to: „H.G. Wells’ The War of the Worlds”). Ów obraz reżyseruje Timothy Hines.

Cóż, zobaczymy... Wierna adaptacja też nie musi być automatycznie udana – niemniej szczerze trzymam kciuki (zdecydowanie bardziej niż za Spielberga)!

jpp

## REFLEKSYJNY JUBILEUSZ PREKURSORA

W tym roku Francja świętuje 100-lecie śmierci Julesa Verne’a. Z tej okazji na nowo analizowana jest cała spuścizna literacka jednego z „ojców-założycieli” science fiction.

Odzywa też sprawa nader interesująca dla nas: Kapitan Nemo w oryginalnym zamyśle pisarza był... Polakiem, mszczącym się na Rosjanach za masakrę powstania styczniowego (zmianę na hinduskiego księcia atakującego Anglików wymógł wydawca).

Szkoda... A może i dobrze: za PRL-u „20 000 mil podmorskiej żeglugi” i „Tajemnicza wyspa” znalazłyby się pewnie na indeksie, a to wszak ważne książki mego dzieciństwa!

jpp

## TRZECI EPIZOD – NIE DLA MALUCHÓW!



George Lucas zapowiada, iż Zemsta Sithów będzie pierwszą częścią gwiazdnej sagi obwarowaną ograniczeniem wiekowym. Film ma być najmroczniejszy z dotychczasowych (wszak Anakin przeobraża się w Dartha!); reżyser napomyka też o czymś w rodzaju swej „rehabilitacji” za wcześniejsze odsłony nowej trylogii

(czyżby spuścił nieco z buńczucznych stwierdzeń, że nowe Gwiazdne wojny są dla młodej widowni, a kwękania stary fanów go nie obchodzą?).

Zobaczmy już w końcówce maja!

jpp

## FA(U)ST FOOD

Grzegorz Gortat

Patron

Poznań 2003, Rebis



KSIĄŻKI Z RÓŻNYCH PÓLEK

Wolfgang Goethe dzieło swego życia – *Fausta* – pisał w latach 1773-1832, a więc ponad pół wieku. Grzegorz Gortat tyle czasu własnej powieści, *Patronowi*, nie poświęcił. Skąd ta pewność? Argumentem jest w tym przypadku nie tyle młody wiek autora, co niedopracowanie fabuły i liczne zachwiania stylu, do uniknięcia przy wnikliwszej (auto)korekcie.

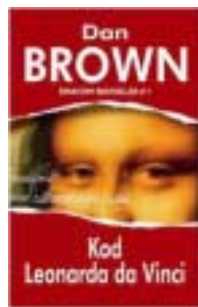
Rzecz (pozornie) zdawała się prosta, a pomysł sprawdzony – kusiciela i kuszzonego Gortat osadził w realiach współczesnych, czyniąc bohaterami artystów. Aby zaś nie pozostawić czytelnikowi wątpliwości co do źródeł opowieści zawartej na kartach *Patrona*, w dzieje znajomości Juliana Rotasa ze Stockenhausenem wplecione zostały reminiscencje odwołujące do historii Marlowe’a, autora *Tragicznych dzieł doktora Faustusa*. Jednocześnie trudno nie ulec wrażeniu, że Gortat nie potrafi wyzwolić się spod uroku tak *Fausta* Goethego, jak i Bułhakowskiego *Mistrza i Małgorzaty*. Ślady lektury obu przywołanych tu utworów widać zarówno w ukształtowaniu fabuły, jak i bohaterów *Patrona*. Jednakże owa fascynacja pozostaje bezrefleksyjna, przejęta „z całym dobrodziejstwem inwentarza”, bez jakichkolwiek prób reinterpretacji. W efekcie odbiorca ma wrażenie, że czyta „przepisane” i w niejasny sposób połączone z sobą fragmenty różnych utworów (w krytyce postmodernistycznej zwykło się taki proceder określać mianem intertekstualnych kryptocytatów, jednakże zmianie nazwy nie towarzyszy zmiana istoty zjawiska).

Z przykrością należy stwierdzić, iż autor *Patrona* nie wykorzystuje tkwiących w fabule możliwości, koncentrując się głównie na wątku dochodzenia Juliana do prawdy o tytułowym patronie. Jednak i w tym przypadku Gortat popełnia elementarny błąd, pozwalając domyślić się wykorzystywanego schematu. Toteż dalsza lektura utwierdza jedynie w słuszności domysłu, jako że niedociągnięcia stylistyczne nie pozwalają cieszyć się stopniowaniem napięcia, które powinno wszak rosnąć w miarę rozwoju gry między protagonistami. Tak jednak się nie dzieje, mimo że akcja przyspiesza, by przy końcu utworu nabrać – w odczuciu piszącego te słowa – nazbyt dużej prędkości, a wydarzenie goni wydarzenie. Cóż z tego, skoro bohaterowie zachowują się w sposób przewidywalny?

Jednakże nawet i te skazę można byłoby Gortatowi wybaczyć, gdyby nie nużący styl opowieści, sprawiający, że czyta się *Patrona* bez smaku frazy. Pod tym względem blisko autorowi rzeczony powieści do pożywienia (zakładając, że literatura ma być strawą da ducha) serwowanego w sieciach szybkiej obsługi. Nie czas w nich wszak na smakowanie poszczególnych kęsów (fraz) – klient ma zjeść i ustąpić miejsca następnemu. Również smak potraw jest obojętny, liczy się bowiem cel użyteczny: niwelacja poczucia głodu. Literatura jednak to strawa szczególna, o ile bowiem *fast-foody* dostarczają minimum pożywienia, niezbędnego dla sprawnego funkcjonowania organizmu, beletrystykę czytać **możemy**, lecz **nie musimy** tego robić. Warto więc – mając wybór – sięgać po dzieła, nie zadowolając się ich namiastkami. Takim zaś *ersatzem* jest powieść Gortata, którą, niczym *fast-foodową* żywność szybko się konsumuje, lecz jeszcze szybciej zapomina o niej.

Adam Mazurkiewicz

# Kod sukcesu



*Kod Leonarda da Vinci* jak u Hitchcocka zaczyna się mocnym akordem: wykładowca Harvardu Robert Langdon, przebywający właśnie w Paryżu, wezwany zostaje na miejsce zabójstwa kustosza Luwru. Szybko okazuje się, że Jacques Saunière pozostawił przed śmiercią przedziwną wiadomość, w której pojawia się nazwisko Langdona: sprawa to, że ten ostatni staje się głównym podejrzanym. A potem napięcie narasta: znikąd pojawia się wnuczka kustosza, by pomóc w ucieczce, Saunière okazuje się być strażnikiem Zakonu Syjonu, tajnej organizacji mającej strzec tajemnicy Świętego Graala, a i śledczy okazuje się kimś więcej niż tylko stróżem porządku. Do akcji włączają się jeszcze przedstawiciele Opus Dei, konserwatywnego stowarzyszenia rzymskokatolickiego, którzy chcieliby, aby Kościół powrócił do „czystego” stanu przedsoborowego, miast „rozpuszczać się” w ekumenizmie i zamieniać w zaledwie-ofertę, z której każdy może wybierać, co mu się podoba, a resztę odrzucać – w sumie powstaje z tego niezwykła gmatwanina postaci i wątków, której rozwikłanie zajmie kolejnych 500 stron.

Powieść obiecuje bardzo wiele; niestety, im dalej w las, tym wyraźniej okazuje się, że poza tą obietnicą autor niewiele ma do zaoferowania. Akcja rozwija się poprzez pościgi i ucieczki jak w amerykańskim filmie sensacyjnym (nic dziwnego, że zakupiono już prawa do ekranizacji *Kodu*), co jeszcze samo w sobie nie stanowiłoby wady, gdyby odślaniana przed nami tajemnica była czymś niezwykłym i oryginalnym; ta jednak okazuje się polegać na banalnym odkryciu „sakralności kobiecej” i opartej na tym teorii spiskowej. W rezultacie „Kod” pozostaje zaledwie typową powieścią sensacyjną opartą na szybkiej akcji. Owszem, rzecz jest napisana bardzo sprawnie i ciekawie; ale po trzystu-czterystu stronach następuje konstatacja, że oto tyłu już zużytego papieru za nami, a tu wciąż nie doszliśmy do konkluzji. Mimo to czyta się nadal z ciekawością, czekając na tę wielką tajemnicę, szokujący suspens, niezwykłą odpowiedź na fundamentalne pytania ludzkości... aż do ostatniej strony, która zdradza ostatecznie, że autor nie miał żadnego pomysłu na zakończenie, co więcej, wcale nie zamierzał odkrywać przed czytelnikiem niczego niezwykłego, lecz chciał jedynie napisać powieść o wartkiej akcji przesyconą erudycyjno-postmodernistycznym spiskowym miszmaszem symboliki chrześcijańskiej i pogańskiej. Uczciwie należy przyznać, że cel ten, jakkolwiek mało ambitny, udało mu się osiągnąć. *Kod...* przypomina mi stylem słabsze książki Johna Grishama (jak *Czas zabijania* czy *Raport Pelikana*): z jednej strony mnóstwo się dzieje, szybka akcja o wielu niespodziewanych zwrotach, z drugiej zaś – wszystko to jest rozwlekle, przesycone szczegółowymi opisami, niewiele wnoszącymi dialogami, a do tego łopatologicznymi wykładami: jeśli np. wspomniana jest *Księga Hioba*, to autor musi wytłumaczyć, kim był Hiob i o co właściwie chodzi. Krótko mówiąc, jest to książka dla typowego amerykańskiego zjadacza popcornu, zdecydowanie *user-friendly*, napisana z dbałością o to, by czytelnik i zainteresował się, i miło spędził czas, i przy okazji się nie zmęczył.

Jak to zazwyczaj bywa z bestsellerami, szczególnie takimi, które – jak *Kod Leonarda da Vinci* – reklamowane są pod hasłem kontrowersji, powieść spotkała z najrozmaitszymi reakcjami. Obok opinii stonowanych można więc natknąć się na głosy zachwyty: jakie to ciekawe i świetne, pełne zagadek, niezwykła łamigłówka, trzyma w napięciu, te zaskakujące zwroty akcji, ta magia symboli, odkrywczosc, nawet jeśli to nieprawda, to rozjaśnia umysł, nie można się oderwać, moja ulubiona książka! Z drugiej zaś strony słycać głosy oburzenia tych, którzy literackie teorie spiskowe Browna traktują ze śmiertelną powagą; najdobitniej brzmią wypowiedzi ze strony hierarchów Kościoła katolickiego, np. w wielkopiątkowym kazaniu w Bazylice św. Piotra padły takie oto słowa: „W naszych czasach, w których panuje obsesja na punkcie seksu, najwyraźniej nie da się przedstawić Chrystusa inaczej niż jako homoseksualistę lub kogoś, kto nauczał, że

<sup>1</sup> z opinii na stronie: merlin.pl

zbawienie można osiągnąć poprzez połączenie się z kobietą i sam dał temu przykład poślubiając Marię Magdalenę. A męka i ukrzyżowanie Chrystusa? To (...) już tylko późniejsze wymysły Kościoła”<sup>2</sup>.

Jedno tylko zdanie z tego kazania wydaje mi się słuszne i trafne: mianowicie określenie „tych, którzy chcą osiągnąć komercyjny sukces kosztem imienia Chrystusa” – „artystycznymi pasożytami”<sup>3</sup>. Trudno bowiem nie uznać, że cel autora był czysto komercyjny, skoro nawet krótki, trzykapitowy wstęp zatytułowany „Fakty” – jest od faktów odległy. Jedno jest pewne: istnieje Opus Dei, pralatura personalna Kościoła katolickiego działająca wśród świeckich w celu „uświęcenia pracy”<sup>4</sup>, której przedstawiciele występują u Browna w roli czarnych charakterów. Dalej, twierdzi autor, odpowiadają rzeczywistości wszystkie zawarte w książce „opisy dzieł sztuki, obiektów architektonicznych, dokumentów oraz tajnych rytuałów” – nie będąc historykiem sztuki mogę tylko powołać się na przeczytane opinie osób kompetentnych, że i w tym zakresie interpretacje autora są równie swobodne, jak w przypadku historii Kościoła. Wreszcie Zakon Syjonu to owszem, fakt, ale nie taki, jak go autor opisuje: było to legalne stowarzyszenie istniejące we Francji z przerwami w latach 1956-1993, którego założycielem i szefem był niejaki Pierre Plantard, ultranacjonalista, antysemita i antymason podający się za potomka Merowingów, w dodatku kryminalista dwukrotnie skazany na więzienie za przestępstwa majątkowe; zaś słynna lista „wielkich mistrzów Zakonu”, zawierająca m.in. nazwiska Leonarda da Vinci, Isaaca Newtona i Victora Hugo, to zwykła fabrykacja autorstwa Plantarda i jego współpracowników<sup>5</sup>.

Czy można tu zatem mówić o kontrowersji? Można na to odpowiedzieć tak oto: powieść może być z jednej strony szokująca, z drugiej zaś oryginalna i odkrywczą dla tych, którzy nie wychylają nosa poza własną kulturę i niewiele wiedzą o świecie. „Sakralność kobieca” jako przeciwwaga i dopełnienie „patriarchalizmu”, „gwiazda Dawida” jako symboliczne połączenie zasad męskiej i żeńskiej oraz koncepcja zjednoczenia seksualnego jako aktu religijnego („drogi do bezpośredniego poznania Boga”) to nie tylko, jak pisze autor, wyraz przedchrześcijańskich kultów płodności, ale i rzecz powszechnie obecna w tzw. religiach Wschodu, zwłaszcza w hinduizmie, gdzie męscy bogowie mają swoje żeńskie odpowiedniki, a akt seksualny oznacza przezwyciężenie dualizmu (relatywności) świata empirycznego. W tym sensie *Kod...* broni się jako popularny wykład o tym, że świat nie kończy się na chrześcijaństwie. Absurdem byłoby jednak traktowanie owego wykładu jako lekcji historii, skoro sam autor wyjaśnia na wstępie, co uważa za fakt; a *contrario*, cała reszta jest fikcją, której to fikcji krytykowanie z punktu widzenia niezgodności z *Biblią* wydaje mi się po prostu śmieszne, a przy tym pachnie zapalem cenzorskim spod znaku LPR i ojca Rydzyska. Zamiast uderzać na trwogę wobec new-age’owskiej herezji, Kościół powinien raczej przestrzegać swych wiernych przed nieodróżnianiem fikcji od rzeczywistości – a wtedy żaden *Kod da Vinci* nie będzie stanowił dla nich problemu.

Podsumujmy zatem: ani to oryginalne, ani szokujące, i chyba tylko fundamentalistom (zarówno pro-, jak i antykatolickim) potrzebne jest posłowie od wydawcy, wskazujące kilka miejsc, w których autor naciąga fakty. Mimo to warto po *Kod...* sięgnąć, jako niezłą powieść sensacyjną i dobrą rozrywkę. Polecam zwłaszcza miłośnikom szybkiej akcji, ale i inni nie powinni się nudzić (choć ostatnie 200 stron mogłoby być o połowę krótsze). Do przeczytania.

Michał Szklarski

<sup>2</sup> cyt. za serwisem www.wp.pl.

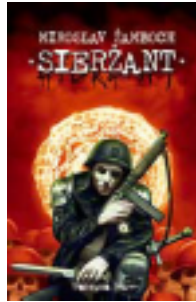
<sup>3</sup> *ibidem*.

<sup>4</sup> zob.: www.opusdei.pl.

<sup>5</sup> w Internecie znaleźć można sporo artykułów prasowych na ten temat; polecam zwłaszcza tekst z „La Nouvelle Observateur”: <http://priority-of-sion.com/psp/id180.html> (jest to tłumaczenie angielskie).



## Nietypowy świat, nietypowy heros



Powieść zatytułowana „Sierżant” otwiera nową serię „Obca krew” w wydawnictwie Fabryka Słów. Jak sama nazwa wskazuje, ma za zadanie przedstawić polskim czytelnikom dokonania „obcych” autorów. Na pierwszy ogień poszedł Czech, ponoć odpowiednik Sapkowskiego w swoim kraju.

Muszę przyznać, że już na samym wstępie podejrzewałam, że książka Miroslava Žambocha przypadnie mi do gustu. Przyczyną jest pomysł dotyczący kreacji świata, gdzie główny element stanowi, ulubione przeze mnie, połączenie magii traktowanej jako nauka i zaawansowanej techniki. Pomimo że pojawiło się już kilka takich utworów, choćby „Łowcy Czarnoksiężników” Marthy Wells, wciąż jest to świeże podejście w obrębie fantasy.

Świat stworzony przez Žambocha prezentuje się nietypowo na tle fantastycznych krain także z innego względu. Ludzie są tu rasą wypieraną, wycofującą się, z biegiem lat tracą coraz więcej terytorium. Nie, nie ma żadnych elfów, czy krasnoludów, które by „karały” człowiecze masy za zwiędnięcie i okrucieństwo w cudzych autorskich wizjach. To, co zagraża ludzkiemu istnieniu, jest trudne do zdefiniowania, ledwie pojmowalne umysłem.

Akcja toczy się w Królestwie. Ów kraj, wraz z czterema sąsiednimi państwami, aktualnie stanowi enklawę na terytorium wroga – ze wszystkich stron otaczają je Dzikie Kresy zwane także Ziemią Niczyją, na których hula chaos w dosłownym tego słowa znaczeniu. Działają tam inne prawa natury (o ile jakiegokolwiek), żyją tajemnicze, różnorodnie inteligentne istoty przypominające zmutowanych ludzi albo nawet... wulkany, dziwne cywilizacje i panuje obca magia. Gdzieś tam utrzymały się inne bastiony ludzkości. Do tych krajów prowadzą Drogi – w miarę bezpieczne obszary na terenie chaosu, utrzymywane mocą magów. Niestety z jakiegoś powodu pozostały już tylko dwie. Mieszkańcy zatem nie dość, że kiszą się we własnym sosie – to na dodatek odczuwają nieustanne zagrożenie (szczególnie ci na pograniczu). Na szczęście królowa, a zarazem najpotężniejsza czaroksiężniczka dba o armię, która ma za zadanie strzec zarówno przed wrogiem zewnętrznym, czyli stworami z Ziemi Niczyjej, jak i wewnętrznym – sąsiadami. Oczywiście jest jeszcze tajna policja. Obywateli trzeba chronić przed nimi samymi. Po pierwsze, z głupoty mogą zajmować się nekromancją, a to największa zbrodnia przeciw państwu, gdyż potęguje siły chaosu. Po drugie zaś – nie powinni wiedzieć zbyt wiele... Na przykład o tym, że obszar państwa wciąż się kurczy.

Wspomniana już armia ma na swym wyposażeniu moździerze, cekaemy, broń automatyczną i inne ciekawostki kojarzące się raczej z realiami II wojny światowej. Wszystko to łączy się amunicją klasyczną lub magiczną. Żołnierzy chroni przed bronią palną (do pewnego stopnia) tarcza energetyczna, dlatego przydają się również stare, poczciwe miecze. Pozornie ulepszone urządzenia bywają zawodne, gdyż łączenie w skomplikowany sposób techniki i magii sprawia, że stają się podatne na zniszczenie byle czarem lub nawet wybuchają samoistnie.

Przejdźmy teraz do nietypowego herosa. Głównym bohaterem powieści jest sierżant Lancelot ze zwiadu w karnej kompanii, gdzie udało mu się przetrwać już osiem lat. Trafił tam za zabójstwo, w dodatku stanowi „element niepewny” ze względu na tajemnicze przewinienie ojca. Wydawało by się, że powinien być nielichym zbirzem, i zapewne coś w tym jest. Bardziej jednak on sam negatywnie wypowiada się na temat własnej osoby, niż możemy przekonać się o tym w praktyce, śledząc jego poczynania.

Ja określiłabym go raczej jako całkiem sympatycznego, lecz twardego gościa, który ma w życiu wyjątkowego pecha. Lancelot stanowi niemal idealne połączenie zimnego pragmatyka i wielkiego romantyka o wyjątkowo impulsywnych zachowaniach. Aż dziwne, że autorowi udało się odmalować kogoś takiego, nie wywołując niedowierzania i zgrzytania zębów u czytelnika.

Sądzę, że już w tym momencie widać, iż książka jest bardzo interesująca. Dodam jeszcze, że akcja rozpoczyna się od wielkiej zagadki, którą bohater usiłuje rozwikłać w swoim własnym, dobrze pojętym interesie... Na samym początku dzieje się „trzęsienie ziemi” a potem wydarzenia nabierają tempa i napięcie wciąż wzrasta (zwłaszcza że pisarz lubi bawić się w kotka i myszkę). Sierżant przy pomocy swej kochanki Dominiki i czarownika Filla przekonuje się, że tajemnice łączące się z wydarzeniami z jego dzieciństwa mają niespodziewany związek z odległą przeszłością Królestwa. Zamierzchle tajemnice zaś wcale nie odeszły w niebyt, lecz wpływają na to, co dzieje się wokół niego w chwili obecnej. Na dodatek jest jedynie pionkiem w wielkiej grze. Czy pionek zostanie ważną figurą i rozegra partię na własnych warunkach? O tym już czytelnicy muszą przekonać się sami.

Miroslav Žamboch dokonał bardzo ciekawej obserwacji natury ludzkiej. Jesteśmy tak przywiązani do znanych, „oczywistych” rozwiązań, że nie przychodzą nam do głowy rzeczy naprawdę oczywiste. Na przykład w wykreowanej rzeczywistości Królestwa wiele przedmiotów działałoby za pomocą czystej technologii (co oddaliłoby niebezpieczeństwo samozniszczenia), ale twórcy widać nie wyobrażają sobie sytuacji, w której nie dodaliby kilku magicznych gadżetów... Inna sprawa, że tam magia dobrze imituje, czy też raczej zastępuje techniczne urządzenia znane nam z co-dziennego życia.

Podobnie wygląda kwestia nadmiernego zaufania do autorytetów. Uniemożliwia to dostrzeżenie istotnych spraw.

Autor raczej nie wybrał przypadkowo nazwiska mężczyzny. Oprócz tego, że ładnie brzmi, niesie pewne przesłanie. Niczym Lancelot z arturiańskiego mitu próbuje pogodzić rzeczy niemożliwe do pogodzenia, jest wplątany w konflikt mniejszego i większego zła oraz wierności jako poddany Królestwa – jest zarazem zdrajcą i zdradzonym.

Interesująco przedstawia się świat widziany oczyma sierżanta. Praktycznie go nie ma... Nic dziwnego – jego egzystencja to okopy, walka, turnieje wojskowe i urlopy, które spędza głównie w burdelach i knajpach. Wokół praktycznie sami faceci (w wizji pisarza wojaczka to wyłącznie męska sprawa), i to jednego pokroju, a cywili widuje się niezbyt często. W ogóle mało kobiet wprowadził pan Žamboch do swej opowieści. Królowa, najpotężniejsza osoba w kraju, otacza się wyłącznie mężczyznami, którymi manipuluje tyleż łatwo, co bezlitośnie. To również celna obserwacja dotycząca specyfiki postępowania wielu kobiet u władzy.

Kawałek normalnego życia pojawia się czasem we wspomnieniach sierżanta Lancelota, a nie są one różowe. Dlatego w owej przygnębiającej scenerii tym ciekawiej prezentuje się wątek romansowy, ciepły, lecz na szczęście pozbawiony kliki. Życie żołnierza staje się jakby jaśniejsze, pojawia się promyk irracjonalnej nadziei, że może być po prostu... dobrze. Przy okazji wielkie brawa dla autora za sceny erotyczne.

Drugoplanowe postacie występujące w „Sierżancie” również zostały narysowane żywą, wyrazistą kreską. Niedźwiedziowaty – z pozoru okrutny, a w istocie poczciwy żołnierz Gasupuréz, uroczą i niezwykle błyskotliwą Dominiką, ewidentnie marnującą się na posadzie nauczycielki w małym, sennym miasteczku, oraz Filla, który ukrywa niejedną tajemnicę, budzą szczerą sympatię.

Spodobał mi się styl pisania czeskiego autora. Używa precyzyjnych określeń i wystrzega się „kwiecistości”. Narracja byłaby może zbyt jednolita i monotonna, ale gdzieś tam błyska cięte, dowcipne sformułowanie bazujące na autoironii lub bezpretensjonalnej złośliwości znużonego starego „trepa”. Žamboch dobrze oddał

ulotny klimat narastającego zmęczenia i niepokoju bohatera, nie męcząc przy tym czytelnika. Pisarz stosuje zabieg rozmyślnego wprowadzania w błąd odbiorcę, co ożywia fabułę.

Samo wydanie książki również zasługuje na pochwałę – korekta sprawiła się nienajgorzej (choć kilka, na szczęście drobnych, błędów rzuca się w oczy), bardzo adekwatna do treści okładka z ilustracją Piotra Cieślińskiego, wewnątrz kilka rysunków autorstwa Dominika Brońka. Jedyne moje zażalenie dotyczy właśnie ich. Rysunków jest stanowczo zbyt mało. Książka Żambocha należy do tych utworów, które w jakiś sposób wręcz żądają obfitej graficznej oprawy.

Podsumowując: Nie przeczę, że przemawia przeze mnie zamiłowanie do ponurych historii i „technomagii”, ale moim zdaniem opowieść o sierżancie to pozycja ze wszech miar godna polecenia.

Joanna „Trashka” Kułakowska

**Mirosław Żamboch *Sierżant***, tłum.: Jan Stachowski, Wydawnictwo Fabryka Słów, Lublin 2005, 372 s, cena: 34, 90 zł

## Magia demonów



Najnowsza książka Anny Brzezińskiej, "Wody głębokie jak niebo", jest raczej zbiorem opowiadań niż jednolitą bryłą fabularną. Opowiadań, które łączą się ze sobą i przeplatają, opowiadając historię i powstawanie legend magicznego archipelagu.

Autorka przybliżyła nam najważniejsze wydarzenia fikcyjnego świata, poczynając od okresu potęgi i rozkwitu magii, po zmierzch epoki czarów. Magia archipelagu jest jednak inna od tych znanych z większości książek fantasy. Jej fundamenty stanowią zaklęcia przyzywania i pętania demonów. Stąd mamy demony tworzące miejskie mury, demony będące ścianami katedr, czy malutkie salamandry, służące jako podręczne lampki.

Magowie "Wód błękitnych jak niebo" są równie nieprzewidywalni, jak ich podopieczni. Toczą ze sobą bezustanne walki, nie patrząc na zgnębienie dla zamieszkujejcej okolice ludności. W większości są okrutnikami, a ich życie jest bezustanną zemstą za urojone lub prawdziwe krzywdy. Jednocześnie często są osobami uczuciowymi, tworzącymi niezwykłe wręcz piękno. Miłość, nienawiść i zdrada, to trzy słowa oddające realia świata archipelagu.

Wspominałem już, że poszczególne opowiadania są ze sobą połączone. Anna Brzezińska potrafi doskonale zobrazować proces powstawania legend. Często wydarzenia z jednego opowiadania powracają echem, jako opowieści ludowe, w których czyny bohaterów zostały odpowiednio wyolbrzymione. Dzięki temu sprytnemu połączeniu czytelnik odczuwa dużą satysfakcję z lektury.

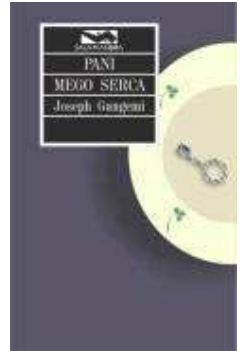
Autorka słynie z plastycznych opisów, pełnych kwiecistych porównań i przenośni. Nie inaczej jest w tym zbiorze. Język zbliżony jest stylizacją do baśni, dzięki czemu jeszcze lepiej można odczuć magię archipelagu. Wszystkie postaci i wydarzenia w książce sprawiają wrażenie realnych, a motywacje głównych bohaterów są czytelne i zrozumiałe. Chyba każdy znajdzie w książce postać, z którą mógłby się utożsamić.

Książka z pewnością nie należy do tych, które szybko się zapominają. Nie sposób nie powrócić w myślach do magicznych wydarzeń. To książka, w której pod płaszczykiem baśniowych schematów, kryją się rozważania na temat ludzkich motywacji i namiętności. To wręcz poetycka, piękna lektura, do której z przyjemnością będzie się powracać.

Adam Wieczorek (www.gildia.com)

**Anna Brzezińska *Wody głębokie jak niebo***, Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2005, 368 s. cena: 24,50 zł

## "Pani mego serca"



Czytając informacje prasowe lub notę na ostatniej stronie okładki debiutanckiej powieści Josepha Gangemiego można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z pospolitym romansem. Choć wielokrotnie w czasie lektury pojawiają się ku temu przesłanki zakwalifikowanie tej książki tak jednoznacznie nie jest słuszne. To głęboka, pięknie skonstruowana opowieść o młodości w burzliwych latach 20. XX wieku.

Zalążkiem powieści jest autentyczne wydarzenie związane z panującą w tym okresie historii modą na parapsychologię i mistycyzm. Było nim ogłoszenie przez szacowne pismo "Scientific American" konkursu, w którym należało ponad wszelką wątpliwość wykazać istnienie zjawisk paranormalnych. Nagrodą była niebagatelna, jak na tamte czasy, suma 5000 dolarów.

Głównym bohaterem powieści jest młody, zdolny i niezbyt bogaty student Harvardu, Martin Finch, który swymi umiejętnościami hipnotyzerskimi budzi zainteresowanie profesora McLaughlina, będącego członkiem komisji "Scientific American". Uczony włącza studenta do komisji, jako swego pomocnika. Przenikliwy umysł i niebanalne pomysły pozwalają mu na zdemaskowanie pretendentów do nagrody. Z czasem zdobywa coraz większe zaufanie swego mentora. Gdy ten ulega wypadkowi – powierza swe miejsce w komisji Martinowi. Pech chce, że medium, które przyjdzie mu badać, jest piękną kobietą. Rodzące się w nim uczucie stoi w sprzeczności z powagą pełnionej funkcji. Nie będą zdradzał dalszego ciągu powieści – podkreślę jednak, że następujące po sobie wydarzenia nie pozostawiają nikogo obojętnym.

Lekturę uprzyjemnia duża dbałość autora o szczegóły, z których wyłania się obraz szalonej epoki jazzu i prohibicji. Pisarze, którzy opisują czasy będące już historią często nie potrafią oddać atmosfery danej epoki, przez co akcja równie dobrze mogłaby dzieć się tu i teraz. Podczas lektury "Pani mego serca" ani przez chwilę nie dane mi było zapomnieć o realiach, w których została osadzona powieść. To wielki plus tej książki, nie jedyny zresztą.

Wszystkie postaci pojawiające się na łamach powieści żyją własnym życiem. Przyznam, że gdyby Gangemi zmienił głównego bohatera i zajął się dziejami dowolnej innej postaci, dalej miałby o czym pisać. Bohaterowie nie są tylko barwnym tłem dla Martina Fincha, często stają się dużo wyraźniejsi niż on. O dziwo: jest to zabieg celowy, co świadczy tylko o kunszcie pisarskim autora.

Również język powieści został odpowiednio "przykrojony" do realiów. Dialogi są wymakowane, a każda z postaci ma swój własny, niepowtarzalny, styl wypowiedzi. Również opisy, choć momentami dość zwięzłe, uzupełniają we właściwych proporcjach warstwę dialogową.

Książka jest już przerabiana na scenariusz filmowy dla wytwórni Johnny'ego Deppa. Jeżeli choć w połowie uda się przenieść na ekran niezwykłą atmosferę powieści – będzie to murowany przebój Tymczasem pozostaje mi tylko zachęcić do lektury. Naprawdę warto.

Adam Wieczorek (www.gildia.com)

**Joseph Gangemi *Pani mego serca***. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2004 r., 280 stron

## Męska rzecz



"Afrykanka" to typowo "męska" książka stanowiąca intrygujące rozpoczęcie serii sensacyjnej wydawnictwa superNOWA. Ogarnięta konfliktem Etiopia staje się areną niezwykłych wydarzeń, w których uczestniczą polscy żołnierze z sił stabilizacyjnych ONZ. Lektura zaspokoi gust każdego rasowego mężczyzny: piękne kobiety, drobiazgowo opisy uzbrojenia i walki oraz ciekawa intryga okraszona gęsto "pikantnymi" dialogami.

Zamiłowanie autora do powieści detektywistycznych również znalazło swe odzwierciedlenie w treści książki. Wplątani w paskudną intrygę polscy żołnierze próbują opuścić niegościnniej rejon Etiopii. Atakowani przez tajemniczy helikopter oraz "armię" somalijskich najemników zdają sobie powoli sprawę, że mogą nie wyjść z tego obronną ręką.

Książka napisana jest bardzo sprawnie. Język nie pozostawia złudzeń, że mamy do czynienia z lekturą lekką, łatwą i przyjemną. Często, pomimo dramatycznych wydarzeń opisy i dialogi wywołują na twarzy czytelnika szeroki uśmiech. Wynika to zapewne z dobrego oddania narodowych przywar Polaków. Obrywa się nam za rasizm, nadmierną religijność, jak i tendencję do zarabiania na wszystkim pieniądzy.

Sama intryga nie jest specjalnie skomplikowana czy zaskakująca, ale odpowiednie dawkowanie informacji pozwala na własne domysły – i tym większą radość, gdy dowiadujemy się w końcu prawdy. Tytułowa "Afrykanka" jest bardzo intrygującą postacią, odpowiednio egzotyczną, aby wzbudzić zainteresowanie męskiego czytelnika. Zresztą wszystkie występujące w książce postaci kobiece są wysoce intrygujące. Na tyle, że męska część bohaterów staje się dla nich często tylko tłem.

Akcja toczy się szybko i dopiero w końcówce zdecydowanie, choć moim zdaniem niepotrzebnie, zwalnia. Zresztą zakończenie to niestety najsłabsza część powieści. Zbudowany trochę na siłę happy end, który sprawdziłby się w filmie, tutaj robi marne wrażenie po emocjonującej całości.

Mam też wrażenie, że książka została wydana trochę zbyt szybko. W efekcie czego w kilkunastu miejscach trafiamy na drobne literówki. Do tego mój egzemplarz miał podwójne ostatnie strony. Nie przeszkadza to w lekturze, ale superNOWA rozpieszczała nas do tej pory wysokim poziomem redakcji tekstów, stąd też moje czepialstwo.

Komu polecam książkę? Wszystkim lubiącym wartką akcją i dobre dialogi w egzotycznym otoczeniu. To ponad 600 stron przyjemnej lektury. Miłośnikom rozwlekłych i "przeintelektualizowanych" treści z pewnością się nie spodoba.

Adam "Wolvie" Wieczorek (www.gildia.pl)

**Artur Baniewicz Afrykanka**, SuperNowa, Warszawa 2005, 636 stron.



## Przypadki otyłej mścicielki



*Kto rządzi plażami? Suferzy!  
Kto rządzi suferami? Surfujący Naziści!!*

Początek tego filmu jest zastanawiający. Pojawiają się migawki z post-apokaliptycznej przyszłości, w której panuje przemoc i anarchia, zwiększana dodatkowo niedawnym trzęsieniem ziemi, które zniszczyło Los Angeles. Plaże w pobliżu tego miasta opanowane są przez konkurujące ze sobą gangi. Na jednej z nich odbywa się szkolenie młodych kandydatów na bandytów. Wszystko to tworzy znajomy obraz świata ogarniętego chaosem. Pojawiają się jednak również elementy niepasujące do tej poetyki – trudno zrozumieć, co mają z tym wspólnego sceny, w których niejaki Leroy Washington oddaje mamę Eleonor do domu opieki. Ale cóż – trudno nie spodziewać się niespodzianek w filmie „Surfujący naziści muszą umrzeć!”.



Fabula nie jest szczególnie skomplikowana. Równoległe prowadzone są dwa wątki. Pierwszy ukazuje życie gangu o sympatycznej nazwie Surfujący Naziści. Jego członkowie chodzą, a jakże, w piąnkach z niezdarnie namalowanymi, ogromnymi swastykami, surfują po oceanicznych falach i reperują swoje deski. Mają swojego przywódcę, pseudonim (sic!) Adolf, chodzącego z dziewczyną imieniem Eva („Jestem jego osobistą dziwką!” – przechwala się). Spotykają się w opuszczonym hangarze, gdzie Adolf wygłasza natchnione mowy („Potrzebujemy scentralizowanej władzy! Musimy zjednoczyć się pod znakiem swastyki!”) i sprawdza lojalność podwładnych. Surfujący Naziści zaczepiają plażowiczów, kradną torebki i konkurują z innymi gangami, takimi jak Rurociągowcy (Pipeliners).

Tymczasem pani Eleanor Washington, zwana Mamuską, tryska energią i terroryzuje nadopiekuńczy personel domu opieki. Robi sweterki na drutach, pije herbatkę z trójką starszych pań i razem z nimi narzeka na przestępców grasujących na plaży. Jej syn zaś – w przerwach między odwiedzinami u Mamuski i nadzorowaniem rurociągów nad brzegiem morza – lubi popływać sobie w wodach oceanu.

Co łączy wszystkich tych ludzi? Otóż wszystko zmienia incydent na plaży, gdy Leroy łapie młodocianego gangstera, który ukradł torebkę. Niestety chłopak okazuje się być Surfującym Nazistą, co kończy się dla Leroya szybką i bolesną śmiercią.

Na szczęście na świecie pozostaje jeszcze Mamuska. To dla niej wielki cios – szybko jednak kończy żałobę i zamienia się w Mamuskę – mścicielkę. Gruba starsza pani



kupuje granaty i potężnego gona i rozpoczyna krwawą wendettę. Na początek podpala deski gangsterów, a potem napięcie rośnie. Gangsterzy nie mają szans.



„Surfujący naziści...” to jeden z najbardziej znanych filmów niezależnych Troma Studios, znanych z produkcji licznych tanich, półamator-skich obrazów, głównie z pogranicza horroru, science fiction i sensacji. Fabuły tych filmów – typowy przykład to np. „Toksyczny mściciel” – nie zostałyby przypuszczalnie zaakceptowane przez żadną szanującą się wytwórnię. Grają w nich amatorzy, charakteryzują się nierzadko krwawością, ale i specyficznym humorem. Niezależne podejście ich twórców przejawia się w tym po prostu, że robią, co im się żywnie podoba, świadomie odwołując się do kiczu i bawiąc się nim.

Wszystkie te cechy odnoszą się również do „Nazistów”. Widać w tym filmie półamatorskie podejście, ale ma on również wiele zalet – takich jak np. świetna muzyka czy niezłe, niemal profesjonalne zdjęcia. Zwłaszcza na początku sporo jest w filmie dłużyzn, ale rekompensują je efektowne sceny

pościgu Mamuśki. Gra aktorów mogłaby przyprawić o zawal – wykrzykując kwestie, starając się robić to jak „najmroczniejszym” tonem, robią bardzo groźne miny i udają „anioły śmierci” w sposób, który może wywołać salwy śmiechu. Jest to jednak niewątpliwie świadoma kiczowatość i autokpina, co potwierdzają niemłosiernie głupie, sztafpowe dialogi („Jestem Fuehrerem nowej plaży!”, „Jak śmiecie kwestionować moją lojalność!!!”). Odwołaniem do kiczu są również walki poszczególnych gangów, podczas których faceci w piankach usiłują stosować ciosy karate i okładają się na ślepo, z trudem trafiając w przeciwnika.

Celem „Surfujących nazistów...” jest zapewnienie widzowi nieskomplikowanej rozrywki. Cel ten został osiągnięty. To jeden z najciekawszych przedstawicieli „trash movies”, czyli obrazów szmatławych. Czy zresztą mogłoby być inaczej w przypadku filmu o takim tytule, który wielu uznaje za najbardziej efektowny tytuł filmowy w historii?

Marcin Szklarski



## Encyklopedia filmu Science Fiction

"Encyklopedia filmu Science Fiction" jest pierwszym tak obszernym podejściem do tego zagadnienia w Polsce. Autorem tego liczącego sobie 500 stron tomu jest Krzysztof Loska. Na rzeczonych 500 stronach autorowi udało się zebrać ponad 500 filmów, głównie z gatunku SF. Znajdziemy tu największe dzieła zaliczane już do klasyki, jak i nowsze produkcje w rodzaju "Matrixa" itp.

Na wstępie otrzymujemy bardzo obszerną klasyfikację filmów. Znajdziemy tam takie kryteria jak nadprzestrzeń, mitologia czy kolonizacja. Trzeba przyznać, że autor postarał się o to, żeby żaden podgatunek SF nie pozostał zapomniany. Ze zrozumiałych względów w publikacji zabrakło szeroko rozumianych filmów grozy, choć niektórzy przedstawiciele tego gatunku, jak choćby "Wioska Przeklętych" czy nieszcześnie "Resident Evil" znaleźli tu swoje miejsce.

Po klasyfikacji przechodzimy do pierwszej części encyklopedycznej zawierającej informacje o twórcach i aktorach kina SF. Czyta się to z przyjemnością zwłaszcza że autor dokłada starań, aby zawarta tam wiedza była rzeczywiście encyklopedyczna, a nie podbarwiona osobistymi uwagami. Rzetelne i przyjemne opracowanie, choć pewnie znajdują się osoby, którego zostały pominięte.

Przejdźmy do najważniejszego. Strony od 195 do 442 wypełnione są informacjami o poszczególnych filmach z gatunku SF. Wszystko ładnie posegregowane, w przypadku występowania kilku wersji tytułu – zawsze podane są wszystkie wraz z odpowiednimi odnośnikami. Materiały uzupełnione są czarno-białymi zdjęciami. To naprawdę kawał dobrej roboty. Wyszukując filmy do swojej kolekcji często sięgałem i dalej sięgam po tę książkę.

Encyklopedia jest wydana w formie zadowolającej. Być może przyzwyczaiłem się do encyklopedii w twardych oprawkach i dlatego miękka oprawa trochę mi nie odpowiada. Jednak zdaję sobie sprawę, że twarda oprawa znacznie zwiększyłaby koszty tego wydawnictwa. W chwili obecnej cena jest bardzo przystępna. Sądzę, że każdy fan SF powinien mieć ją na swojej półce. Mam też nadzieję, że w przyszłości pojawią się suplementy.

Adam Wieczorek (www.gildia.com)

**Krzysztof Loska** *Encyklopedia Filmu Science Fiction*, Wydawnictwo RABID, 500 s., cena: 41 zł

### GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2  
 ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37  
 REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. naczej.), Marek Michowski,  
 Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski  
 OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz  
 GRAFIKI: Sławomir Wojtowicz (3, 21)  
 KONTAKT BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR  
# 191

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji